Nro 29. R. 1837. PONIEDZIAŁEK 9 PAŹDZIERNIKA.

ZBIÉRACZ LITERACKI I POLITYCZNY.

FILOZOFIA W PRZEWRÓCONYCH SANKACH.

Mróz był tęgi, noc ciemna, wicher szczypiący, jak świstek krytyczny, do koła nas okrążał, w towarzystwie zimnego śniégu, który nam wpadał za kołniérze i tam swobodnie się rozpływał, mimo gniéwów, złorzeczeń, i sarkań nieustających. Jechaliśmy odkrytémi ruskiémi sankami, nic przed sobą niewidząc, tylko najętego woźnicę, który był rodem z Łobzowa, i gęsty las, do którego téż wjechaliśmy niebawnie, próżną pocieszani z dala nadzieją, że to jest wieś lub miasteczko. Powoli rozpatrując się, docieklismy z niemałém zastanowieniem: żeśmy zjechali z drogi, a woźnica przydał do tego jeszcze nową pociechę, że sam nie wié gdzie jedzie. » O barbarzyńcze! zawołał jeden z naszego w pół przemarzłego grona, zawiéź nas do jakiéj karczmy, lub cię na miéjscu ubiję! — Wracaj zaraz na dawną drogę, łotrze! zawołał inny; lub ta trzcina pójdzie w kawałki na twoich plecach! — Tam widzę cóś nakształt szérokiego gościńca, zawołał trzeci, obéjrzawszy się w prawo; skręć konie i nie trać czasu, albo cię na hultajski bigos potłukę!..... » Posłuszny zrazu i ulękniony Bartłomiéj, po niejakim jednak namyśle, usłuchał ostatniego, skręcił w prawo i zatarasował wszystkich w dół głęboki, przykrywszy nas swoją ważną dosyć osobą; konie tylko cierpliwe zostały w miéjscu jak wryte, patrząc na swoich satrapów, jak się gramolą po śniégu, który przecież na dobre wyszedł: albowiém gdyby dół był pustym, zapewnebyśmy go byli napełnili potłuczonémi kościami, połamawszy karki na drobne sztuczki. — Po niejakich uwagach filozoficznych, po wyszturkaniu cokolwiek Bartło-

mieja, za nieostróżność w zawrocie; wydobyliśmy się szczęśliwie z dołu, wycukrowani śniégiem, który na czapkach naszych założył główną kwatérę; powsiadaliśmy do nawróconych sanek wlewo, kiedy zuchwały Bartłomiéj zapowiada nam z rezygnacyą: że ztąd kroku daléj nie ruszy, póki dnia niezobaczy, chociażbyśmy mu tysiące guzów, lub złote góry obiecywali!..... Podwojone groźby, przyskakiwania z kijmi, popychania, wreszcie kułaki coraz bardziéj rozgrzéwające; znowu łagodne przemowy, fizyczno-matematycznémi wnioskami popiérane; powoli obietnice, do których mimowolnie ton suplikancki zalatywał, nakoniec jawne prośby, wszystko to nic niepomaga; ale przeciwnie Bartłomiéj coraz się hardziéj sroży, i bez wszelkiego obrzędu zabiéra się do noclegu, rzuca przed końmi siano, stawia im z opałką owies, posypuje go śniégiem dla odwilżenia i smaku, sam zaś odgarnia sobie dołek pod sosną, owija nogi słomą, i siada w kuczki do spania. — Spójrzeliśmy po sobie, jeden z uśmiéchem złośliwym, drugi zgrzytając, trzeci dzwoniąc zębami od zimna; ja, (że tu muszę się nieco pochwalić z umiarkowaniem), ruszyłem tylko ramionami, radząc towarzyszom cierpliwość, chociaż mnie samemu zaczęło jéj ubywać, na widok zuchwałego woźnicy, który swoim uporem przewyższył narów koński. — Cóż z nim robić? bić człowieka za nasze bałamuctwo, żeśmy dłużéj bawili pomiędzy ładnémi kobiétami, niż nam odległość miéjsca i noc z wichrem stowarzyszona dozwalały, byłoby to tyranją srogą, nieludzką; — prośbą nakłonić się nie da; uledz przeto okolicznościom zdrowy rozsądek doradzał, który po popełnionym błędzie zazwyczaj się do nas uśmiécha, nie bez szyderstwa wzbudzającego upokorzenie!..... « — Co za niegodziwy upor tego mazgaja, zawołał piérwszy z pokutujących; może gdzie o ćwierć mili czeka nas ciepła izdebka, świéża słoma, piwo chociażby kwaśne do rozgrzania żołądków!..... Musimy tu ciérpieć ostatnią biédę, musimy tu rekolekcyje odbywać, niewiedząc za co? po co? dla jednego woźnicy głupca!... Nie jestże to despotyzm? zawoła inny.

Nieinaczéj rzekł trzeci, otoż mamy pole do ślicznych uwag. — Tu wszczęła się rozmowa pełna przecudnych myśli i zastanowień, z których się okazało: że woźnica Bartłomiéj jest największym despotą ze wszystkich sułtanów i baszów, jacy tylko żyli na świecie; despotą! który naszą wolnością przez całą noc miał trząść podług swego kaprysu. — Upór każdego człowieka jest despotyzmem dla drugich, rzekłem po niejakim przestanku do moich współwędrowników nocnych. Niedoznałże go Bartłomiéj? Kiedy zajechawszy przed ganek, trzaskał biczem, gwizdał, poruszał dzwonków, dając nam znać, że już czas jechać? My śmieliśmy się z niego i jeden z nas wybiegłszy przed sień, nakazał mu surowo, aby się spokojnie sprawował, gdyż córka gospodyni domu lękała się co chwilę w mniemaniu że jéj kto strzéla za uchem. — Ah! prawda, zawoła drugi, ta panienka ma dopiéro lat dziesięć; a tak jest niepohamowaną w swoich dziwactwach!... Uważałem w niéj upor nie do zniesienia, a przecież wszyscy oprócz ojca wzdychającego na stronie, za przykładem jéj Mamy, znosili go cierpliwie. Jednéj z służących oblała twarz ze złości herbatą gorącą, za to że jéj niepodała sucharków; druga usłyszała wyraz bardzo grubijański,... że jéj przez nieostróżność omało nieudeptała w nóżkę, lokaj musiał sześć razy przynosić szklankę z wodą, która jéj się zdawała być nieświéżą, oj!.. będzież to kiedyś... — Już jest dzisiaj prawdziwą despotką w domu, zawołał inny, i gdyby nie zły humor w który nas wszystkich bezwstydnémi grymasami wprawiła, bylibyśmy do jutra tam zabawili, obok prześlicznych jéj kuzynek, które aniołów w łagodności zdawały się przewyższać. — A ten Pan Komornik wąsaty? ów kaszlący i zakatarzony pretendent do Anieli, wychwalając się nieludzkiémi zajęciami cudzych sprzętów, na rzecz usłużnych lichwiarzów? Zważaliścież owego wymuszonego parafijanina, pełnego przesadzonych, i że tak powiém zabijających grzeczności, który kobiétom nieustannie powtarzał: »Pani Podsędkowo, Pani Sekretarzowo, Pani Półkownikowo, Pani Pisarzowo, Pani Kontrollerowo, Panno Sę-

dzianko!... i t. d. jakby się lękał, aby swoich tytułów niezapomniały? — Niebyłże despotą społeczeństwa naszego, ów sąsiad gospodarza domu? narzékający na biédę, a jak wiadomo trzech popychaczów sądowych, z jego ramienia sekwestrują dłużników i zwożą mu codziénnie wytłoczone z nich egzekucyami procenta? Nie wynudziłże nas, niezmordowałże wszystkich ten fraczkowy, z głową pod cyrkiel ostrzyżoną filozof, ten polityk czyscowy? który dowodził: że w kraju dobrze rządzonym niepowinno być ani podatków, ani żołniérzy, ani policyi, ani sądów, i ledwie że niedodał sprawiedliwości?... Nie jest że znośniéjszy despotyzm Bartłomieja? który gdyby był niesłuchał ostatniego z głosów naszych téj chwili, przynajmniéj niebyliśmy się najedli strachu i śniégu w dole; niż takie swobody jakieby chciał zaprowadzić ów wypłowiały ultra liberalista? — Przypomniéjcie sobie nakoniec, owę otyłą, podeszłą i dosyć brzydką Pannę? Która zna historyą na palcach wszystkich mężatek i dziéwcząt ładnych, w mieście? Jak nad każdą uboléwała!... aby ją tém śmieléj obmówić?... chwaliła!... aby siebie wywyższyć?... Okrutna! widziała dobrze, jakeśmy poziéwali, a nie zlitowała się nad uciśnioną wolnością naszą, ciemiężyła nas, tyranizowała swoją piskliwą deklamacyą, swoim cztérdziestoletnim despotyzmem zwietrzałego panieństwa, któremu chciała nadać powaby szesnastoletniéj tkliwości? « — Kiedy tak wymrożeni jak śmietankowe lody, skruszeni jak kuropatwy, rozpamiętywaliśmy pobożnie ludzkie przywary, a znużony i skruszony także szturkańcami Bartłomiéj, chrapał na piękne pod drzewem; nagle burza ustała, wypogodziło się niebo, i księżyc pokazał się nam z pulchną swoją twarzyczką. — Obudzony woźnica, uradował się tym widokiem, postrzegł o podal wioskę sobie znajomą, i przeżegnawszy się na drogę, zawiózł nas do niéj szczęśliwie, gdzie u gościnnego karczmarza przepędziliśmy wygodnie resztę nocy zgodziwszy się na jedno: » Że człowiek chcący być wolnym, niepowinien nadużywać despotycznie jakich bądź praw drugiego, gdyby te nawet zależały od oszczędzenia mu za

długiéj i gadatliwéj wizyty, jak się to nam po miastach najczęściéj zdarza; że niepotrzeba szukać despotyzmu po Stambułach, Pekinach, Teheranach, bo on i w chatce wieśniaczéj, obok wolności się znajdzie, gdy tylko człowiek pamiętny o sobie zapomina względu dla drugich. «

SKOCZYSZCZE.

PODANIE GMINNE.

Na Wołyniu nie daleko Łucka poniżéj ujścia rzéki Ikwy do Styru jest miéjsce gdzie ścieśniona woda w zakręcie do którego bor sosnowy przypiéra zwężonėm płynie korytem, tam miała żyć piękna dziewczyna o któréj rękę zabiegało się trzech najpiękniéjszych chłopców z pobliskiéj wioski, lecz ona czułością nadzwyczajną obdarzona z natury, swoje serce dla wszystkich trzech zarówno chowała. Każdy z nich był dla niéj najmilszym, dla każdego gotowa była życie poświęcić; lecz żaden nié miał nad nią przewagi, i dziewczyna żadnemu nie chciała oddać swéj ręki. Upominali ją rodzice by jednego wybrała sobie za męża, nalégała cała gromada żeby za jednym się oświadczyła; lecz daremne były upominania i nalégania, bo dziewczyna widząc ich miłość i oddając się jednemu, nie chciała drugich do rozpaczy przywodzić. Chłopcy także ze swojéj strony, chociaż żyli w przyjaźni, co jest osobliwsza pomiędzy wspołzaletnikami; nigdy nié mogli się o ulubiony przedmiot pogodzić, ani go jeden drugiemu odstąpić. — Dziewczyna naglona ze wszystkich stron do wyboru, którego się lękała, wysłuchała nakoniec prośby rozpaczających kochanków i przeznaczyła dzién, w którym ich losy miała rozstrzygnąć. Zbliżył się nareszcie ten dzién tak oczekiwany wpośród trwogi i nadziei, przybyli trzéj młodzieńcy, a dziewczyna poprowadziła ich do owego zakrętu. Tam odebrawszy od nich przysięgę miłości i poddania się wszelkiéj próbie, jaką tylko im przeznaczy oświadczyła: iż ten, co przeskoczy rzékę w owym zakręcie, ten będzie jéj mężem. Zapaleni młodzieńcy, uściskawszy swoję kochankę, stanęli nad brzegiem. Piérwszy rozpę-

dziwszy się skoczył; lecz o kilka łokci nie dosięgnął brzegu i wir gwałtowny pochłonął go nazawsze. Drugi podobnegoż doznał losu. Trzeci nakoniec, ufny w swojéj miłości, rozpędziwszy się gwałtownie, przeskoczył rzékę; lecz nogi uśliznęły się pod nim na brzegu — i on nareszcie po daremnych usiłowaniach zniknął w przepaści. Rozpaczająca dziewczyna po stracie swoich kochanków, postanowiła zakończyć życie i obwiesiła się na gałęzi sosny stojącéj nad brzegiem. Ale oburzone drzewo, nie chciało dźwigać mordercy i samobójcy; wolało raczéj postradać jednéj gałęzi i odszczepiwszy ją ze swego ciała rzuciło wraz z dziewczyną w przepaść. W kilka dni dopiéro o podal znaleziono trzech młodzieńców i pochowano wśród lasu, a dziewczyny nadaremnie szukano. Oburzona natura, nie chciała jéj dozwolić pogrzebu; a ludzie ze zgrozą wspominając o niéj, a z żalem o młodzieńcach, nazwali to miéjsce *Skoczyszczem*. Tu dziewczęta i chłopcy z okolicznych wiosek, co rok o téj saméj porze przychodzą do skoczyszcza i tam opłakując los nieszczęśliwy czworga kochanków, śpiéwają pieśni żałobne.

ZIMNA KREW.

W czasie odwrotu Francuzów do Touluzy w roku 1814 jazda Brytańska mocno przyparła jenerała Berton u mostu St. Martin. Most miano wysadzić minami ale Anglicy uprzedzili Francuzów. Tylko część 22go regimentu szaserów opiérała się dopóty wszelkim natarciom, aż materyały palne urządzone zostały. W téj okoliczności odznaczył się szczególniéj wachmistrz Vincent, osobliwszą odwagą i zimną krwią. Postrzegł on że lont przez który mina miała być zapalona, żarzył się a wybuchnienie nie nastąpiło; postrzegł pomiészanie swego jenerała: więc dobrowolnie zeskakuje z konia, pośpiesza do zapalonego lontu, ogląda go, dobywa krzesiwa, robi ogień do hubki, zapala znowu lont i spokojnie odchodzi. Ledwie dziesięć kroków uczynił, buchnęła mina i most wysadzony został.

Znaczenie przeszłéj Zagadki:
Jabłonie.